

## Tylko dla ... czyli odpryski modernizmu

Dedykuję Agacie

Zmęczona obecnością i zapachem tłumu, ucicha powoli. Policzki nabrzmiałe w uśmiechach wchłaniają oczyszczające ły. Skóra uwolniona z dybów spojrzeń chciwie odzyskuje naturalny smak i także miękkość, oddycha głębiej. W ciemności nocy ły spływają po policzkach. Pamięć (nie)minionego dnia powraca jednak chwilami spazmem niemocy, zakłócając rytm ablucyjnego rytuału. Ale harmonia to stan naturalny: ciche łkanie łagodnym szmerem uspokaja napięte mięśnie twarzy.

Wobec takich warunków atmosferycznych spacer był wykluczony. Podobnie z czynnością, którą wielu z nas zastępuje wówczas przechadzkę – z czytaniem. Pogoda przeszkadza także wtedy, gdyż każde niewinne spojrzenie za okno w najlepszym razie kończy się długimi poszukiwaniami ostatniego akapitu – a równie często zdarza się odnaleźć zamkniętą książkę leżącą gdzieś obok fotela.

Powiedzieliśmy nasamprzód o wieczorze, lecz, gwoli ścisłości: równie dobrze mogła to być już noc, a nawet przedświt. Niestety, mimo najszczerzych chęci, nie rozstrzygniemy, czy podnosił się wieczór, zalegała głucha noc czy może właśnie świtało. Te trzy momenty doby są do siebie zbyt podobne, szczególnie kiedy mamy jesień. Można by się jeszcze zastanowić, który to dzień tygodnia, ale zaraz pojawiłyby się podobne trudności. Nawet p. Henryk, siedzący w fotelu już kilka godzin i bacznie obserwujący drzewo rosnące w ogrodzie, zapytany, jaka to pora dnia (albo nocy) nic by nam nie odpowiedział. Wzruszyłby może ramionami, choć na pewno zaintrygowałoby go to – porzuciłby na chwilę myśl, która go dotychczas pochłaniała i zastanowił się, dlaczego nie wie, czy jest noc, czy wieczór. Ale najprawdopodobniej niedługo potem zamknęłby oczy, przez pewien czas słuchał swoich myśli, by w końcu powrócić do przerwanej wątku.

Jednak p. Henryka w wysokim stopniu zainteresowało, dlaczego nie wie i nie czuje jaka jest pora dnia (nocy) i który jest dzień tygodnia. A skoro tak, powiedzmy od razu do jakiego rodzaju zainteresowań należy zainteresowanie naszego protagonisty. Bo czytelnik może sobie, na przykład, pomyśleć, że Henryk jest filozofem, dlatego siedzi godzinami w fotelu i wpatrzony w niebo i brzozę zastanawia się nad sobą oraz nad światem; taka etykieta pasowałaby bardzo dobrze – Henryk Filozof. Ale Henryk nie jest filozofem i nie zaprzętałyśmy sobie głowy poszukiwaniami najlepszego dlań zajęcia. Powróćmy do zainteresowania. Otóż p. Henryk nie analizuje problemu. Trzeba by rzec raczej, że właśnie problem bada p. Henryka. To dosyć dziwne, naprawdę podejrzane. Po takim wyznaniu, czytelnik ze wzmożoną czujnością zacznie przyglądać się p. Henrykowi, ale co gorsza, również nam – opowiadaczom niniejszego opowiadania, którego przecież nie zaczęliśmy jeszcze nawet opowiadać. Przez to *faux pas* wszyscy możemy wydać się mało wiarygodni i nasz czytelnik

straci ochotę do dalszej – obfitującej w niespodziewane niespodzianki, pełnej magicznej magiczności i intertekstualnych odniesień – lektury; pomyśli sobie: „Co to za bzdury; jestem poważnym człowiekiem i nie mam czasu na takie brednie. Lepiej poczytam gazetę albo skoszę trawnik”. Jeśli tak sobie, drogi czytelniku, pomyślałeś, to przepraszamy; przez nieuwagę zapomnieliśmy już na początku tej opowiadki postawić znak ostrzegawczy:

## Tylko dla obłąkanych

Ale czas przerwać tę długą dygresję i wracać do p. Henryka, gdyż naraz odwraca się on od okna i na fotelu, stojącym vis-à-vis, spostrzega mężczyznę. Nie trzeba podkreślać, do jakiego stopnia zdumiewa go ten widok; wystarczy odrobina empatii, by stwierdzić, że podobna przygoda każdego z nas – ot, zwykłych sobie pracujących, szarych, cichych, najedzonych ludzi, którzy czując czasem dziwny niepokój przegradzający się w namiętność, sięgają po książkę – taka historia każdego z nas doprowadziłaby nieomal do zatrzymania akcji serca. Owa smutna możliwość przychodzi na myśl również p. Henrykowi, ponieważ jest on przekonany o nieocności zamiarów przybysza. Gospodarz ze ściśniętym gardłem i z duszą na ramieniu przygląda się nieznanemu. Mężczyzna siedzi spokojnie, choć słychać jego nierówny oddech; po chwili wyjmuje z kieszeni zgrabne hebanowe puzderko ze znajdującymi się w środku cygarami.

Ten gest niezwykle zaimponował p. Henrykowi – uśmiechnął się i jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, wątpliwości go opuściły. Niestety, od kilku już lat uczulony był na dym papierosowy, cygaro źle mu się kojarzyło, więc nie palił, ale w jego wyobraźni papieros (a co dopiero cygaro!) zawsze dodawały palaczowi powagi i czegoś transcendentnego. P. Henryk poczuł nawet odrobinę sympatii dla niespodziewanego gościa, co jest przecież w takiej sytuacji karygodne, powinien raczej ile sił w nogach uciekać, wzywać pomocy albo nawet zaatakować nieznanego! Uczucie sympatii było tu najzupełniej niespodziewane i właśnie dlatego p. Henryk począł nad nim rozmyślać: „Mój gość nosi się ze wszech miar przyzwoicie – dywaguje gospodarz – jasnobrązowe pantofle pasują do lnianych spodni i marynarki, a te z kolei do białej koszulki z kołnierzykiem, elegancka, choć – trzeba przyznać – niewykwintna laseczka dopełnia całości. Mimo to – p. Henryk strapiiony podciera dłońią policzek – strój dziwnie odstaje od właściciela (i wcale nie chodzi o to, że jest nieodpowiedni na tę porę roku); na kimś innym wyglądałby może schludnie i dodawałby powagi, natomiast w tym wypadku przywołuje fauniczne skojarzenia – gospodarza na tę myśl przeszły dreszcze. – Na dodatek to zwierzęce sapanie i jeszcze szpeciniasty zarost. Mój gość to na pewno niebywały lubieżnik” – podsumował swoje rozważania p. Henryk, po czym z determinacją rzekł na głos:

– Mój wzrok przyciągnęła tamta latarnia, proszę spojrzeć. Daje tak intensywne światło, że podczas deszczu spadające krople mają kolor pomarańczowy; to tym dziwniejsze,

że żadna inna latarnia na tej ulicy nie świeci w taki sposób – zupełnie bezpretensjonalny temat jak na rozmowę z nieznanym, który nagle, nie wiadomo skąd, pojawił się w waszym domu, nieprawdaż? – Pewnego razu – kontynuował p. Henryk – przyglądałem się jej, zupełnie tak jak teraz, gdy chodnikiem przechadzała się para: kobieta i mężczyzna. Prawdopodobnie wracali z jakiegoś wieczoru towarzyskiego, ponieważ oboje zdawali się nieco podchmieleni i mocno rozbawieni – przystawali co parę kroków, głośno się śmiejąc i żartując, zaprezentowali nawet niewidzialnej publiczności kilka piruetów. Przyglądałem się im ciekawie, bo takie sytuacje zawsze wzbudzają, chyba nie tylko moje, zainteresowanie. Jak się później okazało nie była to młoda para, co wówczas wydawało się oczywiste, lecz moi sąsiedzi – o, z tamtego domu. Jednak owego wieczoru (czy może nocy? – nie pamiętam już) myślałem, że to młodzież i z ciekawością przypatrywałem się jak kobieta...

Ostatnie słowa p. Henryka odbiły się echem od parkietu mieszkania i powróciły do uszu nieznanego, który, podobnie jak wcześniej gospodarz, skrupulatnie liczył krople spadającego deszczu. Gościa do tego stopnia pochłonęła medytacja, że nie zauważył dzikiego błysku w lewym oku p. Henryka; jego uwagi uszło także zerwanie się gospodarza z fotela i bieg do drzwi wyjściowych z pochylonym naprzód tułowiem. Chwila tego biegu obudziła w ciemnych zakamarkach duszy p. Henryka od dawna drzemiące tam instynkty zabijania. Łatwo było wówczas o pomyłkę i postronny obserwator mógł spostrzec w kącikach ust naszego bohatera ślady krwi... A co do skrzypienia podłogi i innych hałasów powodowanych biegiem – tłumiły je miękkie kapcie z baraniej wełny, które p. Henryk nabył kiedyś po okazjnej cenie na kiermaszu ozdób góralskich (cóż za zaskoczenie!) pod Wielką Krokwią w Zakopanem. Nieznajomy zauważył zniknięcie gospodarza dopiero, gdy na podwórku rozległ się wściekły i przeraźliwy ryk. Gość dopadł drzwi prowadzących do ogrodu i w świetle błyskawicy (choć możliwe, że było to tylko światło latarni) ujrzał p. Henryka nagiego niczym olimpijski bóg, wznoszącego do niebios wojenny okrzyk i w ciemność za płot, skąd dochodziło cichnące ujadanie psa, rzucającego kamienie.

– Czy zanim powróci pan do... przerwanej wstęgi, nie będzie miał nic przeciwko krótkiej dygresji? – zapytał nieznajomy, gdy gospodarz, przebrawszy się w suche ubranie i zmieniając kapcie, usiadł z powrotem w fotelu. – Już od lat nie byłem świadkiem podobnego zdarzenia: gdy człowiek nagle przestaje nad sobą panować i władzę przejmuje instynkty. Tym większej przyjemności doświadczyłem, że należy pan do grona osób wysoce kulturalnych. Choć, z drugiej strony, właśnie jako człowiek czytany, jest pan świadom tego, że drzemię w nas nieokiełznane namiętności, i że jeden człowiek to *de facto* kilka różnych osób. Dopiero uświadomienie sobie tych odmiennych...

– Pies i jego właściciel to, wybaczy pan, bardzo osobiste zadrażnienie – p. Henryk bezpardonowo przerwał nieznanemu, po czym nabzdyczył się niczym kilkuletni chłopiec. Nastąpiło milczenie. Choć dla żadnego z rozmówców nie było ono przyjemne, przedłużało się. P. Henryk po ok. 1,25 minuty zmącił ciszę:

– Teraz może źle widać – podjął gospodarz – ale dom sąsiadów, których wtedy widziałem na ulicy, jest o wiele większy od mojego; co zresztą uzasadnia liczba domowników. Mieszka tam duża rodzina: starszy mężczyzna oraz małżeństwo, niewiele młodsze ode mnie, z trójką dorastających dzieci. Zapewne czeka pan teraz na jakąś historyjkę związaną z tą rodziną; coś, co zaobserwowałem, przyglądając się ich życiu. Ma pan rację – wiele mógłbym panu powiedzieć, lecz nie chciałbym zdradzać żadnych intymnych szczegółów. Pragnę tylko podzielić się z panem refleksją natury... można powiedzieć, ogólnej, choć, w dużej mierze, dotyczy ona również mnie samego, ale nie obrazi się pan chyba o to...? Proszę posłuchać: kiedy pogoda dopisuje lub przynajmniej nie utrudnia tego, przesiaduję w ogrodowym fotelu obok tamtej brzozy, nieco bliżej róż... Lubi pan róże? Ja bardzo... Szczególnie żółte; i nieraz rozmyślam dlaczego akurat ten kolor. Bo przecież nie kojarzy się ani z barwą ciała kobiety zaznajomą z rozkoszy, ani z czystością ducha niewinnej dziewczyny; w ogóle trudno go do czegokolwiek porównać. Domyślam się, że właśnie to stanowi przyczynę mojej niecodziennej predylekcji... – P. Henryk z niewiadomych przyczyn zawiesił na chwilę głos – Mój zakątek od tarasu willi sąsiadów dzieli niewielka odległość. Pewnego popołudnia siedziałem pod drzewem, gdy nagle z zadumy wyrwał mnie krzyk. Słyszałem wyraźnie: podniesione głosy dwóch mężczyzn i kobiety. Do tej pory nie jestem pewien, co było przyczyną kłótni, gdyż doszły mych uszu tylko strzępy słów. Po kilku chwilach, gdy krzyki ucichły, na tamtym tarasie pojawił się starszy mężczyzna i usiadł na krześle przy stole. W pewnym momencie jego wzrok napotkał moje pytające spojrzenie. Nie miałem wtedy okularów, więc nie ręką za prawdziwość obserwacji; możliwe, że sam to sobie dopowiedziałem (rozumie pan – gdy człowiek nie jest pewien tego, co widzi lub słyszy, dopowiada brakujące części w taki sposób, żeby zgadzały się z resztą). Skupienie malujące się na twarzy sąsiada w pierwszej chwili kazało mi wątpić, czy on mnie w ogóle widzi. Jednocześnie pomyślałem, że gdybym zastał go przy goleniu lub parzeniu herbaty, zobaczyłbym ten sam wyraz twarzy. Wie pan, jestem już stary, ale takie spojrzenie widziałem po raz pierwszy, nikt nigdy nie patrzył na mnie w taki sposób. Siedzieliśmy przez chwilę, nie odrywając od siebie wzroku; poczułem, że mam wilgotne dłonie. Nagle mężczyzna uśmiechnął się, co znów mnie ogromnie zdumiało, gdyż przyszło mi na myśl, że on udaje, że gra; lecz wrażenie szybko pierzchnęło, a kolejne sugerowało, że wykrzywione w uśmiechu usta oznaczają poddanie się konieczności, losowi, akceptację przypadku... Zapewne szuka pan teraz powodu, dla którego opowiadam tę długą historię. Otóż, jak pan widzi, mieszkam sam, ale nie tylko mieszkam... Jest pan w tym domu pierwszym od bardzo dawna gościem. Nikt inny tu nie bywa, odzwyczaiłem się od ludzi, od rozmów z nimi; właściwie nie są mi oni już do niczego potrzebni, ja im zresztą też nie... Zastanawia się pan, po co w takim razie przyglądam się tej rodzinie? Muszę przyznać, że nie wiem. Od długiego czasu myślę o tym, a jeśli się nad czymś zastanawiam, szczególnie, gdy dotyczy to mnie, analizuję wszystko, szczególnie to, co sprawia największy ból – gdyż to jest zwykle najważniejsze...

Gdy p. Henryk rozpoczynał opowiadanie, nieznamy siedział bez ruchu, oddychał jednak ciężko i głośno. Jego twarz pozostawała w cieniu, poza zasięgiem lampy

pokoju, a czy, których gospodarz nie widział, początkowo bez wyrazu, utkwione w jakiś punkt ciemności za oknem, w trakcie opowieści nabierać zaczęły blasku. Słowa naszego bohatera krystalicznym dźwiękiem fortepianowych akordów rozbiły się po pokoju, gdzie parkiet tylko w niektórych miejscach pokrywały dywany, a kilka niewielkich obrazów ze wstydem niemocy próbowało odwrócić uwagę od posągowej nagości kremowych ścian do połowy otulonych dębową boazerią. Mężczyzna raptownie podniósł się z fotela i zaczął przechadzkę po salonie, zakłócając tym samym występ gospodarza. Lecz rytm jego kroków szybko dopasował się do Henrykowej melodii i stworzył doskonałą niemal harmonię; skrzywienie posadzki akompaniowało wspaniale okrągłym zdaniem gospodarza, generując napięcie wewnątrz dzieła, które wydobyć z utworu potrafią tylko najwięksi wirtuozzi. Nagle instrumenty ucichły, przez moment, niby po fantastycznym wykonaniu Wielkiego Dzieła<sup>1</sup>, w pokoju zaległa cisza, a w końcu zamiast spodziewanych oklasków rozległ się głośny i zdrowy śmiech nieznanego.

– Tak, to bardzo piękne, co pan opowiedział. Uważa pan zapewne, że jego samotność jest niezwykle szlachetna, a raczej uszlachetnia, nieprawdaż? Znosi ją pan cierpliwie, jest z niej dumny, a w chwilach słabości, lub odwrotnie – poczucia nadzwyczajnej siły lub pewności, przygląda się pan tamtej rodzinie, czyż nie? Nie będę oceniał pańskiego postępowania, choć może się pan domyślać moich poglądów, po reakcji na pańskie gładzenie. I jeśli mam być szczery, muszę dodać, że pański sentymentalizm jest dla mnie śmieszny, tak – sentymentalizmem nazywam wiarę w uszlachetniającą moc samotności, cierpienia. To śmieszne, ponieważ nie ma czegoś takiego jak szlachetność, cierpienie... Sumienie! Obaj przecież dobrze wiemy, że ideały, i nie tylko one, już dawno umarły! – nieznanemu, zasapany, musiał na moment przerwać perorę. – Dlaczego pan przestał żyć, niech pan powie. Dlaczego dobrowolnie skazał się pan na to odosobnienie? Śmierć za życia! Miał pan już dosyć, tak? Czego dosyć?! Miłości, piękna, kobiet, zdrady, nienawiści, śmierci – ile jeszcze można tak wylizać? Tego miał pan dosyć? I wołał poświęcić resztę czasu, który panu pozostał, na kontemplację i tworzenie sztuki?! Przecież to właśnie z miłości i śmierci bierze się sztuka i im chce złożyć hołd. Sztuka to hołd dla Życia! Czym innym jest te siedem tomów francuskiego pisarza, które, jak widzę, pan studiuje? Czego on poszukiwał? Życia! Życia, gdyż choroba podstępnie mu je odebrała; a pan sam się go pozbawił! Życie to największa sztuka. – nieznanemu, jak gdyby wyrażając tym pokorę, usiadł znów w fotelu. – Pana fascynuje tamten mężczyzna, ponieważ intuicyjnie wyczuwa pan w nim Życie, obaj dobrze to wiemy. A skoro tak, może przysłużyć się sprawie, gdy zdradzę kilka szczegółów z jego biografii. Znam dobrze ten rodzaj ludzi, wielu z nich poznałem w drodze, a wie pan, ludzi poznających się w drodze łączy przedziwna więź... O pańskim bohaterze było swego czasu dosyć głośno. Dzięki majątkowi oraz pozycji towarzyskiej rodziny swoją młodość mógł przeżyć bardzo intensywnie: niedługo przed zakończeniem dyrektury Gustava Mahlera w wiedeńskiej Staatsoper,

---

<sup>1</sup> Np. 5 Suty Angielskiej (BWV 810) J.S. Bacha; sonaty fortepianowej f-moll, op. 57 Beethovena czy sonaty *Arpeggione* (D. 821) Schuberta [przyp. aut.]

nasz znajomy kilkakrotnie złożył wizytę Zygmunтови Freudowi w jego mieszkaniu na Bergstrasse (nie muszę panu przypominać jakie wrażenia wywierały wówczas te seanse...). Jakis czas później Rosjanin Diagilew zaprosił go na premierę *Święta wiosny*, o którym to skandalu długo rozmawiał potem z pewnym schorowanym pisarzem, w jego pokoju wyłożonym korkiem, przy bulwarze Haussmanna... Widzę, że odżywają pańskie wspomnienia... Tak, Paryż, Wiedeń, Monachium, Petersburg – wszystkie te miasta leżały niegdys pod jednym dachem, nieprawdaż? Jakis czas potem zatrzymał pańskiego sąsiada egzotyczny Tanger – wydawało się, że osiadzie tam na stałe, gdyż poznał autochtonkę i zakochał się; jednak po pięciu latach małżeństwa niespodziewanie zostawił ją i opuścił Maroko. W końcu zamieszkał tutaj, ale kto wie, czy nie ruszy jeszcze w drogę... Przepraszam, czy aby dobrze się pan czuje?

W istocie, pan Henryk nie wyglądał dobrze – zbłądł, szeroko otwartymi oczyma wpaływał się w nieznanego mężczyznę; oddech miał płytki i szybki. W pokoju nie zostało śladu po cichym, łagodnym spokoju, promieniującym z paleniska, skąd dochodziło uszu p. Henryka leniwe trzaskanie drzew. Kim jest ten mężczyzna? Czego może chcieć? Skąd tyle wie?! Nieznajomy wydaje się bliski, jakby Henryk znał go już kiedyś, jakby w przeszłości byli dobrymi przyjaciółmi albo wrogami. Trzeba zebrać myśli i chwilę odsapnąć. Pan Henryk wstał i zaproponował gościowi szklaneczkę whisky; ten zgodził się, więc gospodarz poszedł do kuchni. Kiedy wrócił, zastał na swoim fotelu drugiego nieznanego mężczyznę; panowie cicho rozmawiali. Nowo przybyły podziękował za whisky, ale skuszony przez Henryka zgodził się na wino. Kiedy wszyscy mieli już alkohol, drugi nieznanomy rozpoczął:

– Bardzo interesującą dysputę panowie prowadzą. Doprawdy, niezwykle mnie ona zainteresowała, a skoro wyczułem, że niedługo i ja stanę się jej przedmiotem, postanowiłem ułatwić panom zadanie i samemu wszystko powiedzieć; dzięki temu unikniemy nieporozumień – słodki uśmiech nie schodził z ust mówcy; swoboda oraz bezpretensjonalność jego sposobu bycia mogły imponować. – Nie zależy mi bynajmniej na przestraszeniu panów, lecz rzeczy za prostą uważać nie należy. Otóż będziemy mieli tutaj jeszcze kilku gości. Są oni niezbędni; ja, można powiedzieć, jestem tu *implicite*. Myślę, że obaj panowie przeczuwają to. Panie Henryku, byłby pan łaskaw przypomnieć nam swój ostatni sen? Zapisał go pan nawet w swoim notesie. Albo, pan pozwoli, ja zacytuję fragment: *„Ten sen jest jakby przecuciem... przecuciem i jednocześnie wspomnieniem, a może nawet antycypacją. Siedzi to we mnie, gdzieś z boku, z tyłu i nie mogę sobie z tym poradzić; walczę ile sił, ale co raz – przegrywam; gdybym potrafił połączyć w całość te części; ale sam sobie nie poradzę, ach, gdybym miał kogoś... Przeczuję jakąś barierę; ogromny mur, gdybym mógł przez niego przejść, tam coś jest...”*. Pisał pan w ten sposób, panie Henryku. A pan – nieznanomy zwrócił się do mężczyzny z laseczką – niech pan powie, czy kiedy mówił o umarłych ideach, o sąsiadzie – czy nie zdawało się panu, że to nie wystarczy, że czegoś brakuje, że jest coś jeszcze? A może pan także pomyślał o murze czy o drzwiach? Tak, mają panowie wiele wspólnego. Ale cóż, na mnie już pora. Niebawem zjawią się kolejni goście i to, co teraz budzi jedynie niepokojące

przeczcucia, nabierze bardziej namacalnego kształtu; wtedy też (jeżeli taka fraternizacja jest dopuszczalna) zrozumiecie, dlaczego teraz jestem tu tylko *in spe*. I nie obawiajcie się, wszystko zostanie wyjaśnione.

Ostatnie słowa nieznanego zawisły złowrogo w powietrzu po tym, jak ich autor zniknął z pokoju, zostawiając po sobie kłęby duszącego dymu. A gospodarz po raz kolejny uległ atakowi strachu, gdyż do tej pory nie pomyślał, w jaki sposób zjawili się tu obaj mężczyźni. Nie trzeba chyba opowiadać, że przepowiednie drugiego gościa sprawdziły się – salon powoli zapełnili goście, nawiasem mówiąc, najróżniejszego autoramentu. Bodaj największe wrażenie wywarł na p. Henryku rybak z hiszpańskiej wioski, który żonę i sąsiada zaskoczonych *in flagranti* przywiązał do swoich sieci i nakarmił nimi rekiny. Gospodarz z równie wielkim przejęciem wysłuchał także opowieści przeora zakonu z Nowosybirsk, który niegdyś przerwał swój nowicjat odbywany w Brnie i uciekł w głąb Rosji przed pokuszeniem ze strony nawróconej przez siebie grzesznicy. Z każdą kolejną opowiadką p. Henryk namacalniej odczuwał to, o czym mówił drugi nieznanomy: mimo tylu różnych opowieści, tylu ludzkich zachowań – a może właśnie przez to! – nasz bohater odnosił wrażenie, że bariera powoli znika, a mur się kruszy. Przepowiednia gościa nie sprawdziła się jednak do końca. W pewnym momencie przybysze zaczęły znikać; nie wszystko zostało wyjaśnione. Co gorsza, przez długi czas po tych tajemniczych odwiedzinach nasz bohater czuł się, delikatnie mówiąc, nie najlepiej: zaprzestał wychodzenia z domu, zbyt często odnosił wrażenie, że ktoś znajduje się w pokoju lub zaraz się w nim pojawi. Lecz dopiero poczucie dwoistości, albo gorzej – wielości, ogromnej wielości i płynności było dla p. Henryka nie do zniesienia. Kiedy udało mu się wyjść z domu, wrażenie owo kazało gnać przed siebie, obojętnie gdzie, byle nie pozostawać w miejscu. Doszło nawet do tego, że p. Henryka poczęły nawiedzać samobójcze rojenia; i wtedy przed nimi musiał uciekać.

Jednakowoż nasz bohater dobrze zapamiętał słowa nieznanego: „wszystko zostanie wyjaśnione”; w jego umyśle pozostała także wizja wspaniałej całości. I mimo że teraz wszystko wydawało się p. Henrykowi podwójnie lub nieskończenie bardziej skomplikowane, to w rzadkich chwilach spokoju, kiedy siadał w fotelu i patrzył na dom za drzewem, ufał szczerze, że naprawdę wszystko się wyjaśni; że uda mu się otworzyć drzwi, przeskoczyć mur i będzie mógł kontynuować podróż rozpoczętą dawno temu...



Wojciech Gola, *Miasto rośnie 2*